

J E R Z Y

EDIGEY



UMRZESZ
JAK MĘŻCZYŻNA

J E R Z Y

EDIGEY

UMRZESZ
JAK MĘŻCZYŻNA

 SAGA
EGMONT

Jerzy Edigey

Umrzesz jak mężczyzna

Saga

Umrzesz jak mężczyzna

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1967, 2021 Jerzy Edigey i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728049471

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Rozdział I

Granatowy brulion

Zeszyt ma granatowe okładki. Dziewięćdziesiąt sześć stron. Najgrubszy, jaki można było dostać w jedynym sklepiku z materiałami piśmiennymi. Na pierwszej stronie umieściłem swoje imię i nazwisko „Henryk Gawryś”, a pod spodem dodałem „podporucznik MO”. Ten ostatni napis sprawia mi ciągle dużo radości. Jeszcze nie mogę się przyzwyczaić do tego tytułu i dwóch srebrnych gwiazdek, odcinających się od stalowoszarego koloru nowiutkiego munduru. Chciałem też napisać „pamiętnik”, ale zawstydziłem się. Pamiętniki wypada pisać młodziutkim dziewczynom i statecznym mężom stanu, a nie podporucznikom milicji. I to, jak powiedział komendant szkoły wręczając mi nominację, „na tak samodzielny i eksponowany stanowisku, na którym możecie się wykazać”.

Rzeczywiście, mogę się wykazać! Miasteczko liczy około półtora tysiąca ludności, nie biorąc pod uwagę krów, owiec i świń. Bo tu prawie każdy ma przy swoim domku komórkę z „żywiolą”. Od najbliższego „wielkiego miasta”, a jest nim powiatowy Ełk, dzieli go dwanaście kilometrów bocznej szosy. Autobus PKS łączy nas dwa razy dziennie ze światem. A „samodzielne i eksponowane stanowisko” to po prostu kierownictwo miejscowego posterunku MO, składającego się z sierżanta Zygmunta Królczyka, kaprała Jana Nowakowskiego i dwóch milicjantów: Edwarda Iwanowskiego i Jerzego Mamonia.

Tak skończyły się moje dziecinne marzenia. Chłopak zaczytujący się Conan Doylem, a później rozmaitymi

„kryminałami”, już bardzo wcześnie postanowił, że zostanie słynnym detektywem. Po maturze i odsłużeniu wojska, jeszcze w szkole oficerskiej MO, widziałem się oficerem śledczym prowadzącym wielkie, skomplikowane dochodzenia. Nieraz marzyłem, że to właśnie ja wykrywam aferę mięsną czy łapię tajemniczych, nieuchwytnych bandytów.

W szkole zorientowałem się, że tylko najlepsi z nas mają szansę trafienia do Warszawy lub do komend wojewódzkich, a najlepsi z tych najlepszych może dostaną się do „dochodzeniówki”. Reszta pójdzie do służby w powiatówkach lub zostanie użyta jako „zapchajdziury” wszędzie tam, gdzie właśnie będzie wolny etat. Mimo wszystko byłem dobrej myśli i wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę. Najpierw udało mi się trafić w szkole do wydziału operacyjnego, chociaż nie było to wcale proste, bo wszyscy słuchacze chcieli tam się znaleźć. Ten dobry start pozwalał mi mieć nadzieję, że w razie celujących postępów w nauce zdołam choć w części zrealizować swoje postanowienia.

Szkoła przyniosła mi pewne rozczarowania. Zrozumiałem, że na służbę w aparacie patrzyłem dotąd przez pryzmat lektury o genialnym Sherlocku Holmesie i innych „papierowych” postaciach istniejących tylko w fantazji autorów sensacyjnych powieści. Praca w milicji, dochodzenie w sprawie zbrodni czy innego przestępstwa wygląda w rzeczywistości zupełnie inaczej, niż to opisują w książkach. Znacznie mniej tu miejsca na genialne improwizacje zdolnych detektywów, a znacznie więcej nauki. Drobiazgowe badania śladów pozostawionych przez przestępcę, skomplikowana praca instytutów naukowych — to mniej ciekawe, ale pewniejsze środki niż „szare komórki” wspaniałego pana Poirot, bohatera książek Agaty Christie,

czy też dedukcje przy kominku, z fajką w zębach, pana Sherlocka Holmesa.

Uczyłem się jak głupi. Czwarta lokata to nie żarty. Trzech pierwszych nie mogłem prześcignąć. Dorównując im pracowitością lub przewyższając ich nawet pod tym względem, ustępowałem wyraźnie zdolnościami. Mimo wszystko mogłem liczyć, że z tak wysoką lokatą trafię, jeśli nie do Komendy Głównej MO, to w każdym razie do którejś z komend wojewódzkich.

Wreszcie nadeszła długo oczekiwana chwila — uroczysta promocja. Ręce mi lekko drżały, gdy umieszczałem dwie srebrne gwiazdki na naszywkach dopiero co wyfasowanego munduru. Potem cała ceremonia, kolacja, zabawa pożegnalna i oczekiwanie przed gabinetem komendanta szkoły na przydziały pracy.

Pułkownik powitał mnie z uśmiechem i długo mówił, że w uznaniu zdolności i pracy otrzymuję specjalną nagrodę — od razu samodzielne stanowisko — komendanta posterunku w Wisajnach. Słyszając te słowa, będące całkowitą ruiną moich marzeń, aż zbładłem. Pułkownik zrozumiał to zupełnie opacznie. Uspokajał mnie, żebym się nie przejmował, bo na pewno dam sobie doskonale radę na tym „odpowiedzialnym i eksponowanym stanowisku”.

Po tym jeszcze tylko krótki urlop i czwartego sierpnia z walizą w ręku wylądowałem na rynku w Wisajnach. Autobus zaraz ruszył w dalszą drogę, ja zaś rozglądałem się ciekawie, wypatrując posterunku MO, miejsca mojej przyszłej pracy. Wszystko się zgadzało: apteka była na rynku, sklep spożywczy z jedynym w miasteczku neonem był. Sklep mięsny również. Kino, sklep z materiałami, odzieżą, magazyn z gwoździami i różnym żelastwem, zegarmistrz i radiotechnika. Tylko milicji brakowało mi w tym towarzystwie.

Gdy tak rozglądałem się wokoło, podszedł do mnie może dwunastoletni chłopiec.

— Pan jest nowym komendantem MO — powiedział. — Budynek posterunku milicji mieści się niedaleko, na Świerhczewskiego. To ta ulica od rynku do jeziora — pokazał ręką — biała willa z czerwonym dachem.

— Skąd wiesz, że jestem nowym komendantem?

— Pytanie! — Wydał usta. — Wszyscy wiedzą. Myśleliśmy, że pan przyjedzie wczoraj.

W ten sposób przekonałem się, że w takim małym miasteczku wszyscy zawsze wszystko wiedzą o wszystkich. A szczególnie o najbliższych sąsiadach. Zrozumiałem też, dlaczego w każdym oknie domów na rynku sterczy przynajmniej jedna głowa i dlaczego każdy mój krok śledzi tyle par oczu. Nareszcie w Wisajnach dzieje się coś nowego — przyjechał kierownik posterunku MO, podporucznik Henryk Gawryś!

Wziąłem walizę i poszedłem we wskazanym kierunku. Posterunek był tuż za rogiem ulicy. Przed nieco cofniętym małym budynkiem rozciągał się trawnik i dwa klomby z różnobarwnymi kwiatami. Obok obowiązkowo maszt z białym flagą i linką do wciągania flagi. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. W sporym pokoju zastałem czterech ludzi w mundurach milicyjnych. Na mój widok wstali przybierając postawę, którą mógłbym nazwać „lekceważąco-zasadniczą”.

— Witamy obywatela komendanta — powiedział sierżant.

Budynek posterunku ma na parterze cztery pokoje. Pierwszy po prawej stronie z małego korytarza to salka przyjąć interesantów. Przedziela ją tradycyjna kratka. Z jednej jej strony dwie ławki, z drugiej dwa stoły. Tu urzęduje dyżurujący milicjant. Stąd drzwi prowadzą do następnego pomieszczenia, którym jest mój gabinet. Dwa pozostałe pokoje nie mają specjalnego przeznaczenia.

Posiadają jednak podstawowe umeblowanie: krzesła i stoły oraz szafy. Mój poprzednik, porucznik Laskowski, zrobił w jednym z nich archiwum i skład starych dzienników.

Wszystkie okna są solidnie zakratowane. Areszt mieści się w suterenie i jego okna wychodzą na podwórze otoczone wysokim murem. Na piętrze są dwa mieszkania.

Trzypokojowe dla kierownika posterunku i dwupokojowe dla jego zastępcy.

Sierżant Zygmunt Królczyk oprowadził mnie po całym budynku i pokazał moje mieszkanie. Jak na kawalera — trzy pokoje z kuchnią i łazienką — to wcale, wcale...

— Na co mi taki duży lokal?

— Przyda się, przyda — uspokajał mnie Królczyk. — Panien w miasteczku nie braknie. A przyrost naturalny powyżej normy krajowej.

— Naprzeciwno wy mieszkacie? — zapytałem.

— Nie. Dyrektor pomógł, to wybudowałem własny domek. Niedaleko stąd, nad jeziorem. Żeby mieszkanie nie stało puste, zajmują je milicjanci Iwanowski i Mamoń. Oni też kawalerowie. Nowakowski mieszka u rodziny żony, przy ulicy bohaterów Monte Cassino.

— Bardzo przyzwoite pomieszczenie na posterunek — pochwaliłem.

— To od niedawna. Dopiero pięć lat, jak dyrektor wybudował — wyjaśnił Królczyk. — Przedtem gnieździliśmy się w dwóch pokoikach na rynku. Tam, gdzie teraz jest sklep z obuwem. Ciasno było i niewygodnie. Nie mieliśmy nawet porządnego aresztu.

— A dużo macie teraz ludzi w areszcie?

— Ii, nikogo. Spokojne strony. Dobrze pan porucznik trafił. Tu przyjechali ludzie z za Wilna. Znad Naroczy. Bo jezioro podobne. Też takie okrągłe i duże. Naród pracowity i zgodny. Czasem tylko na weselu pobiją się lub porzną nożami. Niekiedy sąsiad sąsiadowi łeb rozwali o jakąś

zaoraną miedzę. A tak spokój. Najwyżej w soboty zamykamy na dole kilku pijaków, żeby się przespali. Spokojną, przyjemną robotą. Gdyby nie te ciągłe sprawozdania i statystyki, to żyć nie umierać. Można cały dzień rybki łapać. Mamy też służbową motorówkę. Stoi na przystani LOK. Obsługuje ją Mamoń.

„Spokojna praca” i „czasem na weselu nożami się porzną”. Akurat dla mnie, któremu widziały się wielkie sprawy, ciekawe śledztwa. Aż się roześmiałem.

Królczyk wziął mój śmiech za objaw zadowolenia, bo dorzucił:

— Mieszkam tu i pracuję już osiemnaście lat i nie wiem, czy zdarzyło się choć dziesięć nocy, które bym nie przespał w domu, na własnym łóżku. Oczywiście nie licząc tych, kiedy miałem nocny dyżur. Tu dyrektor lepiej pilnuje niż milicja. Jeżeli nawet kogoś zamkniemy za pijaństwo lub za wywołanie burdy, to na drugi dzień tylko jęczy: „Zapłacę, jaki chcecie mandat. Zrobię, co każecie, żeby tylko dyrektor nic nie wiedział”. On się nie patyczkuje. Jak mu ktoś podpadnie, od razu precz z fabryki i wyjeżdżaj z Wisajń.

— Co za dyrektor? — zapytałem.

— Nie wiecie, komendancie? — zdziwił się sierżant. — Adam Sodyr, dyrektor fabryki aparatów elektroautomatycznych „Elektron”.

Po południu, gdy już trochę się zagospodarowałem w moim olbrzymim mieszkaniu, Królczyk oprowadził mnie po całym miasteczku. Tak się jakoś dziwnie składało, że na naszej drodze spotykaliśmy masę ludzi, z którymi sierżant mnie zapoznawał. A więc przewodniczący Miejskiej Rady Narodowej i całe jej prezydium, inżynierowie z fabryki, kierownicy sklepów, a nawet ksiądz proboszcz z wikarym.

— Kiedy zobaczyli, że nowy komendant przyjechał — śmiał się zadowolony Królczyk — wszyscy wyszli na ulicę, aby pana obejrzeć.

Miasteczko jest bardzo ładne. Leży na półkolistym brzegu dużego jeziora. Podobno miało wiele zniszczeń z czasu wojny, ale teraz tego nie widać. Królczyk krótko określił: „dyrektor odbudował”.

W małej zatoczce nad jeziorem znajduje się fabryka „Elektron”. Trzy duże hale fabryczne i trochę mniejszych budynków. Fabryka zatrudnia ponad siedmiuset mieszkańców Wisajn i ich okolic. Nietrudno zgadnąć, że ten, jak na miejscowe stosunki, wielki zakład przemysłowy jest jedyną racją bytu Wisajn. Bez fabryki miasto ani by się nie odbudowało, ani nie rozwijało. Po prostu zeszłoby do rzędu osady lub większej wsi, liczącej kilkaset głów. Dosadnie scharakteryzował to Królczyk: „Kogo dyrektor wystawi za bramę, ten może z Wisajn wyjeżdżać”. Nie znajdzie tu już żadnej pracy. Po pierwsze dlatego, że poza fabryką w ogóle jej nie ma, po drugie, że nikt takiego wypędka nie przyjmie, aby nie narazić się zarządowi fabryki, od której wszyscy w większym czy mniejszym stopniu są zależni. Chociaż więc nominalnie w miasteczku istnieją rozmaite władze państwowe i społeczne, z Miejską Radą Narodową na czele, faktycznie o wszystkim decyduje dyrektor „Elektronu”. Nawet o siedzibie miejscowego posterunku milicji i o mieszkaniu sierżanta Królczyka. Budynek posterunku został wybudowany z funduszków fabryki, a Królczyk postawił swój domek nad jeziorem na gruncie odstąpionym przez fabrykę i z materiałów, które mu fabryka odprzedała. Całą stolarkę tego domku również zrobiono w warsztacie fabrycznym, rzekomo w ramach produkcji ubocznej.

Na wysokim cyplu, wrzynającym się w jezioro, wznosi się budowla z czerwonej cegły, z niewielką wieżyczką, zakończoną stożkowym daszkiem, także z czerwonej dachówki. To „zamek” — jak mnie poinformował Królczyk. Zabudowania pamiętają jeszcze krzyżackie czasy. Podobno

cypel był przecięty głęboką fosą z mostem zwodzonym, a całość otaczał wysoki i gruby mur. Budynków zamkowych musiało być jednak więcej, lecz do naszych czasów dotrwał tylko ten jeden z wieżyczką, zresztą w stanie godnym pożalowania. Stare zamkowe mury nie potrafiły oprzeć się pociskom nowoczesnej artylerii, gdy w roku 1945 hitlerowcom przyszło do głowy wykorzystać zamek jako punkt oporu, mający zatrzymać ofensywę Armii Radzieckiej.

Postrzelaną ruiną zaopiekowała się fabryka, odbudowała ją i przerobiła na miejscowy Dom Kultury. Tam odbywają się teraz wszystkie zabawy taneczne i tam też występuje w jedynej większej sali, jaka istnieje w miasteczku, zawijający od czasu do czasu teatr objazdowy z Białegostoku lub Olsztyna. Na zamku mieści się również przyjemna kawiarenka. Według nie pisanego prawa każdy, kto ma jakieś znaczenie w Wisajnach, musi przynajmniej raz na tydzień pokazać się w tej kawiarence — po to, aby go wszyscy mogli obejrzyć i żeby później mogli poplotkować na jego temat. Oczywiście i on sam plotkuje również na temat swoich bliźnich.

Tego pierwszego dnia do kawiarenki nie poszedłem. I tak całe miasteczko miało możliwość obserwacji mojej skromnej osoby i nie wątpię, że miejscowe języki nie próżnowały, zajmując się każdym szczegółem postaci, wyglądu i munduru. Obejrzałem za to bardzo zachęcająco się przedstawiającą przystań Ligi Obrony Kraju. Znalazłem tam parę żaglówek, sporo kajaków, a nawet narty wodne i bojery oraz naszą milicyjną motorówkę. Mamoń, dumny z łodzi, którą Komenda Wojewódzka MO w Białymstoku przydzieliła posterunkowi w Wisajnach dopiero w ubiegłym roku, przewiózł mnie po jeziorze. Na jego środku znajduje się mała wysepka nazwana „Wyspą miłości“ a jedna z kilku odnóg jeziora, ciągnących się po parę kilometrów, łączy się

z całym kompleksem innych jezior. Kajakiem czy żaglówką można tu płynąć kilkadziesiąt kilometrów.

W moim nieszczęściu — zesłaniu do tej dziury — przynajmniej tyle znalazłem pociechy, że jest woda i możliwość uprawiania włości kajakowej. Sympatyczny kierownik LOK bardzo się ucieszył, że „nowa władza” należy do braci wodniaków. Mój poprzednik unikał jeziora, bo podobno miał reumatyzm czy lumbago.

Pierwszy wieczór spędziłem naturalnie w domu sierżanta. Nie mogłem się wymówić od tego zaproszenia. Dla pani Królczykowej był to ewenement towarzyski o wybitnym znaczeniu — mogła pokazać świeżo upieczonego komendanta posterunku wszystkim swoim znajomym. Gdybym nie przyszedł, mój zastępca nigdy by mi tego nie darował.

Na przyjęciu było kilkanaście osób, cała elita miejscowego towarzystwa, z wyjątkiem inżynierów z fabryki, którzy, jak to natychmiast ktoś z goryczą powiedział, „trzymają się osobno i nie zadają się z byle kim”. Nie muszę dodawać, że w czasie wydanego na moją cześć przyjęcia oglądano mnie niczym małpę w klatce w ogrodzie zoologicznym.

Nic dziwnego, że czułem się trochę nieswojo i byłem nieco małomówny, chociaż z natury jestem towarzyski i wesoły. Gdy już przestano mnie obserwować, rozmowa potoczyła się wokół aktualnych, miejscowych tematów, a przede wszystkim wokół fabryki i jej dyrektora.

W ten sposób, zadając kilka niby przypadkowych pytań, dowiedziałem się historii „Elektronu” i jego kierownika, a właściwie nie koronowanego króla Wisajn. Muszę przyznać, że dyrektor Adam Sodyr jest naprawdę ciekawą i nieprzeciętną postacią. Gdyby urodził się przed siedmioma wiekami, byłby albo krzyżowcem, albo jednym z błędnych rycerzy. Nieco później wyrósłby na atamana kozackiego,

organizującego z Siczy zuchwałe wyprawy pod mury Konstantynopola. Nawet nazwisko jak gdyby świadczyło o jego kozackim lub tatarskim pochodzeniu. A może byłby zabijaką jak Kmicic czy pan Wołodyjowski albo butnym sztachetką, rwącym się do szabli i swoim *liberum veto* zrywającym sejmy Rzeczypospolitej?

Na swoje nieszczęście czy szczęście dyrektor Sodyr urodził się znacznie później, bo w początkach dwudziestego wieku. Lata studenckie miał ponoć burzliwe i nieraz nawet otarł się o sanacyjne więzienie. Mimo to udało mu się skończyć Politechnikę Warszawską na dwa czy też trzy lata przed wojną. Już w czasie studiów błysnął wielkimi zdolnościami i zmysłem organizacyjnym. Był, jak to się mówi, „urodzonym przywódcą”.

Wybuch wojny zastał go na granicy polsko-niemieckiej, gdzieś pod Krotoszynem, na stanowisku dowódcy baterii artylerii konnej. Ta jednostka od pierwszego dnia wojny była prawie stale w ogniu. Cofając się, podporucznik Sodyr nie tylko nie stracił ani jednej armaty, nie tylko rozbił kilka czołgów hitlerowskich i zadał ciężkie straty przeciwnikowi, ale nawet zdołał doprowadzić do Warszawy znacznie większy oddział niż ten, którym dowodził na początku. Po prostu zbierał żołnierzy z rozproszonych i rozbitych pułków.

Po kampanii wrześniowej przyszła niewola i pobyt w jednym z oflagów. Był tam jednak tylko rok. Po zuchwałej ucieczce Sodyr trafił z powrotem do Warszawy, a tutaj do konspiracji. Skończyło się to aresztowaniem, pobytem na Pawiaku i transportem do Oświęcimia. Znowu ucieczka w czasie transportu do innego obozu. Teraz trafia do partyzantki na Lubelszczyźnie, aby później z Wojskiem Polskim przebyć, tym razem w przeciwnym kierunku, prawie ten sam szlak, którym kiedyś wycofywał się ze swoją baterią. Kampanię kończy ciężką raną, otrzymaną przy zdobywaniu Kołobrzegu.

Po kilkumiesięcznym pobycie w szpitalu inżynier Sodyr wychodzi z wojska i zaczyna pracować w PKPG w Warszawie. Ale papierkowa robota szybko przestaje mu się podobać. W czasie jednej z podróży służbowych trafia do Wisajna. Oczarowany urokiem małego miasteczka osiedla się tutaj i staje się jego mężem opatrznościowym.

Wtedy, w roku 1946, Wisajny liczyły zaledwie około czterystu mieszkańców. Fabryka, dawne zakłady zbrojeniowe, przedstawiała rozpaczliwy widok. Czego nie wywieźli uciekający hitlerowcy, to zostało wyszabrowane przez oficjalnych i przez działających na własną rękę szabrowników. Zostały tylko puste hale. Nawet część ścian rozebrano, żeby łatwiej było wyciągać z nich połamane na złom maszyny.

Sodyr tym się nie zraził, jakimś cudem zdołał przekonać właściwe władze w Warszawie o konieczności odbudowy fabryki i uzyskać pierwsze, zresztą bardzo skromne, kredyty. Zdobył jakieś maszyny i, zwerbowałszy kilku pracowników, otworzył w jednej z hal warsztat naprawy samochodów.

W ciągu dwóch lat warsztat rozrasta się w przyzwoitą fabryczkę. Robót nie brakuje. W tej części kraju jest to jedyna wówczas placówka przemysłu państwowego tej branży. Zakład przynosi coraz większy dochód i władze wojewódzkie, a nawet stołeczne zaczynają patrzeć nań coraz łaskawszym okiem. Wtedy w następnej odbudowanej hali Sodyr uruchamia nową produkcję: części zamiennych do samochodów — z zakresu instalacji elektrycznych.

Nie znam przepisów finansowych, toteż trudno mi zorientować się, jakim sposobem Sodyr mógł całe zyski szybko rosnącej fabryki przeznaczать na jej rozbudowę i bogatsze wyposażenie, a później nawet na odbudowę miasteczka dla zapewnienia mieszkań swoim pracownikom. Podejrzewam, że nie oglądając się na żadne konsekwencje,

zbrojny w swój wysoki stopień wojskowy — a wyszedł z wojska jako podpułkownik — i odznaczenia bojowe, wydawał pieniądze nie pytając o zgodę swoich bezpośrednich zwierzchników. W tamtych czasach taka partyzantka mogła ująć bezkarnie.

Później fabryka zaniechała remontów samochodów. Prowadziła jednak produkcję części zamiennych, przechodząc jednocześnie na coraz bardziej skomplikowaną wytwórczość. Sodyr w lot wyczuł koniunkturę eksportową. Jego zakład był bodaj pierwszym w województwie producentem eksportowym i dlatego szybko stał się oczkiem w głowie władz przemysłowych zarówno Białegostoku, jak Warszawy. Dyrektor umiał to zręcznie wykorzystać do lekkiego szantażu — „nie dacie kredytów na odbudowę i rozbudowę miasteczka, nie będzie eksportu. Nie ma pieniędzy na dom kultury, obawiam się, że nie zdążymy na termin wykonać planu dostaw do, na przykład, Afryki”.

W końcu fabryka zaczęła produkować specjalne urządzenia elektronowe, oparte zresztą o wynalazek, kilku miejscowych inżynierów z Sodyrem na czele. Zakład zyskał rangę jednego z głównych eksporterów tej branży i w konsekwencji pozycja jego kierownika jeszcze bardziej się umocniła. Teraz z jego zdaniem liczyli się nie tylko w Wisajnach, ale także w kilku ministerstwach w Warszawie. Nieraz też proponowano mu wysokie stanowisko w stolicy. Mówiło się po cichu w Wisajnach, że odmówił nominacji na podsekretnarza stanu. Zresztą wcale mu się nie dziwię. Tutaj był absolutnym władcą i fabryki, i miasta, i okolicy. W Warszawie byłby tylko jednym z wielu, a to nie mogło zadowolić ambicji tego człowieka.

Prawie całą załogę fabryki, nie licząc oczywiście personelu niewykwalifikowanego, dyrektor zebrał spośród swoich znajomych, przyjaciół i towarzyszy z wojska,

konspiracji i partyzantki. Wyszukiwał potrzebnych sobie ludzi w całej Polsce i — jednym kusząc wysoką pensją, innym ładnym mieszkaniem, trzecich urokami Jezior Mazurskich — ściągał do Wisajni. Rezultat był łatwy do przewidzenia — stał się dla nich czymś w rodzaju półboga. Tylko on miał u nich autorytet, tylko jego polecenia wykonywali bez dyskusji.

Trzeba jednak przyznać, że dyrektor dbał o swoich ludzi. W razie konieczności potrafił walczyć o nich jak lew. Dbął również o „swoje” miasto. Wisajny szybko podźwignęły się ze zniszczeń wojennych. Mało tego — znacznie się rozbudowały. Przybył duży szpital i Dom Kultury, o którym już wspominałem. Nawet posterunek MO wybudowany został przez fabrykę, bo pewnego dnia dyrektor oświadczył, że to po prostu wstyd, aby milicja gnieździła się w dwóch małych pokojach czynszowej kamienicy na rynku...

Od samego początku Sodyr był radnym miejskim. Reprezentanci tego miasta, tak zależnego od fabryki, bez większych dyskusji uchwalali wszystkie wnioski i propozycje swojego radnego. Jeśli było trzeba, robotnicy stawali do pracy w czynie społecznym. Wiedzieli, że to im się opłaci. Kierownik fabryki wynagradzał ich, wypłacając jakąś premię, wywojowaną w Warszawie.

Z rozmów zorientowałem się, że w miasteczku Sodyr był bardzo lubiany. Podobno umiał zjednywać sobie sympatię. Przypuszczam, że umiejętnie dbał o swoją legendę i wiedział, w jaki sposób oddziaływać na wyobraźnię tutejszej ludności.

W dawnych latach, kiedy fabryka dopiero się odbudowywała i dyrektor nie miał tak mocnej pozycji, wielkie burze zbierały się nad jego głową. Kiedyś zamknięto go nawet za zbyt już wielką samowolę. Wówczas w miasteczku o mało nie doszło do rozruchów w obronie zwierzchnika.

Obecnie dyrektora nie ma w Wisajnach. Wyjechał do Paryża na wystawę elektroniki. Pod nieobecność przełożonego dyrektorskie obowiązki pełnił inżynier Jakub Paszkowski, zresztą kolega Sodyra z Politechniki.

Rozdział II

Zabawa na zamku

16 sierpnia

Nie otwierałem mojego zeszytu przez dziesięć dni. Nie działo się w Wisajnach nic ciekawego, zresztą nie miałem czasu zajmować się pamiętnikiem. Bo chociaż nie było zdarzeń godnych uwagi, a areszt milicyjny świecił pustką, to kierownik posterunku nie miał chwili wytchnienia, nieustannie konferując i uczestnicząc w zebraniach. Nikt by nie uwierzył, ile w takim małym miasteczku traci się czasu na debatowanie. Rozmowy w prezydium Rady Narodowej na temat bezpieczeństwa w mieście. Omówienie planu różnych akcji specjalnych. Konferencje z kierownikami szkół, bo rok szkolny za pasem. Posiedzenie LOK, gdzie dokooptowano mnie do zarządu, ponieważ poprzedni kierownik, chociaż bał się wody gorzej niż ognia, z wieku i urzędu zajmował to stanowisko. Nawet ksiądz proboszcz nie darował mi i zaprosił na plebanie w związku ze zbliżającym się terminem jakiegoś święta kościelnego, w czasie którego odbywa się w Wisajnach doroczny odpust.

Tu „zabezpiecz”, tam „zadziałaj”, gdzie indziej „bądź do dyspozycji” i „czuwaj na posterunku”. Całe szczęście, że dyrektor Sodyr nieobecny, bo gdy go nie ma; w „Elektronie” nic się nie dzieje. Przynajmniej więc fabryka zostawiła mnie w spokoju. Nieoceniony sierżant Królczyk udzielił mi bezcennej rady — słuchać i wszystko obiecywać, a załatwiać we własnym zakresie, tak jak uznam za stosowne. Dzięki tej metodzie zdobyłem w miasteczku, jak się

dowiedziałem, opinię „niegłupiego faceta”, z którym można się dogadać.

Praca na posterunku szła swoim utartym torem. Na zmianę — Królczyk albo ja — stale pełniliśmy dyżury w budynku MO. Jeden z milicjantów pozostawał „w rezerwie”. Dwaj inni objeżdżali na rowerach okoliczne wsie lub pilnowali porządku w miasteczku. Najwięcej kłopotów mieliśmy, jak to zwykle bywa na zapadłej prowincji, z utrzymaniem czystości miasta i okolicznych wsi. Wykonanie poleceń wymaga się rozmaitymi sposobami — perswazją, interwencją kierownika wiejskiej szkoły, który zawsze trzyma naszą stronę. Gdy to nie pomaga, trzeba czasami sięgać do mandatu lub grozić skierowaniem sprawy do kolegium. Oto moje wielkie problemy i moje „eksponowane i odpowiedzialne stanowisko, dające możliwość wykazania się”.

Zaraz po przyjeździe sierżant poinformował mnie, że w następną sobotę odbędzie się „na zamku” wielka zabawa i dodał, że jako komendant posterunku muszę wziąć w niej udział niejako z urzędu. Nigdy nie stroniłem od tanców i dlatego ten obowiązek nie wydał mi się zbyt uciążliwy. Przeciwnie, ciekawy byłem, jak taka impreza w Wisajnach wygląda.

W dzień zabawy stałem przy oknie w moim gabinecie, kiedy zauważyłem, że przez rynek przejechał piękny, czarny samochód zagranicznej marki. Prawie wszyscy, których wóz mijał, zdejmowali czapki i kłaniali się. Czytałem kiedyś jakiś reportaż z Abisynii. Tam również, gdy cesarz Heile Selasi przejeżdża ulicami Addis Abeby, mieszkańcy zdejmują nakrycia głowy. Od razu więc domyśliłem się, że pan dyrektor Sodyr powrócił ze swoich zagranicznych wojaży. I nie pomyliłem się, bo moje przypuszczenia wkrótce potwierdził Królczyk.